Jerzy Hausner

Z „Kuźnicy”, z rządu i spoza...

universitas

Z „Kuźnicy”, z rządu i spoza...

biblioteka
KUŹNICY

Jerzy Hausner

Z „Kuźnicy”, z rządu i spoza...

Kraków

© Copyright by Jerzy Hausner and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2009

ISBN 97883-242-1406-1
TAiWPN UNIVERSITAS

Redakcja
Jerzy Lohman

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Spis rzeczy

Od redakcji 7

Zamiast wstępu
Zawsze z pasją – z Jerzym Hausnerem
rozmawia Teresa Torańska 11

I. Z „Kuźnicy"

Transformacja i program gospodarczy 33

Polska bliżej Unii Europejskiej 41

Lewica, populizm, miękkie państwo 51

Węzły polityki gospodarczej – przecinać czy rozsupływać? 67

Nieuchronność przełomu 89

Integracja... na ścieżce wzrostu – z Jerzym Hausnerem
rozmawia Irena Dryll 105

Czy przespaliśmy ostatnie 15 lat? 113

O wnioskach z dyskusji nad książką 121

II. Z rządu

Bezrobocie będzie spadać 141

Młode pokolenie a rynek pracy 153

Plan ministra 161

Perspektywy i trudności polityki gospodarczej 179

Program uporządkowania i ograniczenia wydatków publicznych 195

Rządowy plan naprawy 205

Przełamaliśmy stagnację i gospodarka jest na ścieżce wysokiego wzrostu 219

Strategiczne myślenie o państwie 225

III. Z DOMU

Zamierzennik 235

Zamiast zakończenia

Wewnętrzne pomieszanie – z Jerzym Hausnerem rozmawia Beata Chomątowska 327

Ostrzegam rząd przed gospodarczymi konsekwencjami unikania reform – z Jerzym Hausnerem rozmawia Hanna Tobolska 335

Co po nas zostanie? – z Jerzym Hausnerem rozmawia Kazimierz Targosz 345

Od redakcji

Profesor Jerzy Hausner, choć członek „Kuźnicy" od jej zarania, stał się niekwestionowanym przewodnikiem skupionego w niej środowiska lewicowej inteligencji w trudnym dla „Kuźnicy" okresie, kiedy niespodziewana śmierć posła Andrzeja Urbańczyka pozbawiła to stowarzyszenie charyzmatycznego lidera, utalentowanego polityka i człowieka mediów, przygotowującego się właśnie do objęcia funkcji ministra kultury.

Lata 2001–2005 okazały się zarazem czasem pełnego zaangażowania Jerzego Hausnera w wielką politykę jako posła na Sejm, a przede wszystkim wicepremiera, podejmującego fundamentalne reformy i kierującego bieżącą polityką gospodarczą rządu, a równocześnie krytyka ówczesnych partyjnych obyczajów i praktyk.

Jerzy Hausner ujawnił w tym okresie z wielką ekspresją, jak potrafi łączyć pasję uczonego, analityka i twórcy z oddaniem pracy nauczyciela akademickiego oraz z zainteresowaniem i wolą czynnego udziału w życiu publicznym i bezpośrednim rządzeniu. Jako uczony badał systemy, interesy i więzi społeczne, budował teoretyczne modele zarządzania i gospodarowania, jako nauczyciel formował nie tylko studentów, ale i młodych pracowników nauki, jako minister i wicepremier stworzył sławny plan i w krótkim czasie połowę jego inicjatyw wcielił w życie.

Na rzeczywiste podejmowanie wszystkich tych zainteresowań i prac, na osiąganie w każdej z tych dziedzin poważnych wyników, pozwalała mu niezwykła dyscyplina wewnętrzna, umiejętność gospodarowania czasem własnym i współpracowników. To zaangażowanie i niechęć do tracenia choćby chwili, a także postawa typowo nauczycielska, jest siłą autora, ale i jego słabością. Zwłaszcza w polityce, w rządzeniu państwem nadmiar logiki i precyzji, organiczna niezdolność do manipulacji i demagogii, operowanie racjami, a nie

nastrojami nie sprzyjają pozyskiwaniu poklasku i nie uwodzą elektoratu od lat skłonnego w Polsce przede wszystkim do frustracji.

Niniejszy zbiór artykułów i wypowiedzi, w tym także wystąpień oficjalnych profesora Jerzego Hausnera, pokazuje jego przemyślenia, analizy, programy i przewidywania, a także sposoby argumentacji w trzech rolach: przewodnika inteligenckiego środowiska „Kuźnicy" i w ogóle polskiej lewicy liberalno-demokratycznej, autorytatywnego członka rządu, a wreszcie tego, który z rządem i partią rządzącą się rozstał, ale nie porzucił roli krytycznego obserwatora, usiłującego wpływać na to, co uważał i uważa za nadrzędną rację państwa polskiego w Unii Europejskiej.

Rozważania profesora Jerzego Hausnera drukujemy w zasadzie w postaci pierwotnej (z pewnymi skreśleniami, ale bez unikania powtórzeń, jeżeli obrazuje to logikę wywodu, często po profesorsku drobiazgowego). Skróty w przemówieniach pochodzą od redakcji.

Na ostatnią część książki składają się fragmenty osobistych zapisków Jerzego Hausnera. Od wielu lat prowadzi on rodzaj dziennika, który nazwał – ze względu na charakter notatek – zamierzennikiem. Dają one pełniejszy obraz podjętego przez autora zobowiązania, aby skutecznie łączyć odpowiedzialność za kilka wielkich zadań publicznych. Ale, kursując między Krakowem i Warszawą, nie zrezygnował także z życia rodzinnego. Notatki prowadził najczęściej w czasie weekendów spędzanych w domu w Gorcach, w niedalekiej od Krakowa Szczawie. Obrazują one zamierzenia, przeżycia i opinie osobiste – nadzieje, satysfakcje i klęski. Wszystko to dzieje się w ogromnym napięciu, w wirze inicjatyw i działań, którym towarzyszy marzenie, aby choć trochę odpocząć przy muzyce z wielkiej domowej płytoteki czy to w czasie gry w ulubioną piłkę nożną, a także w chwilach rzadkich biesiad rodzinnych i towarzyskich. Z tych zapisków redakcja wybrała ok. jednej trzeciej tekstu, nie dokonując jednak żadnych skrótów wewnątrz notatek spod jednej daty dziennej, aby nie naruszyć ich autentyzmu. Nie ingerowaliśmy także w język i swobodę stylu.

Liczymy, że książka ta pozwoli czytelnikowi poznać nie tylko sposób rozumowania i poglądy autora, ale i funkcjonowanie systemu oraz prawdziwe zamiary rządu, poznać gospodarkę i mechani-

zmy wpływające na jej rozwój. A także związek obecnej sytuacji społeczno-ekonomicznej z niezależną od woli polityków koniunkturą oraz możliwościami i ograniczeniami działań organów państwowych, samorządowych i pozarządowych.

Październik 2008 r.

Instytut Badań Społecznych
„Kuźnicy"

Zamiast wstępu

Zawsze z pasją[*]

Z Jerzym Hausnerem rozmawia Teresa Torańska

T.T. – *Jeździ pan teraz po Polsce i co mówi ludziom?*

J.H. – ◂ Bądźcie aktywni! Musimy razem...

Z jaką pasją!

◂ Zawsze mówię z pasją.
Musimy razem wyjść z tej epidemii szaleństwa, jaka ogarnęła Polskę. Mam dla was propozycję...

Jak trybun! Pan mnie zaskakuje.

◂ Trybunem ludowym nigdy nie byłem, ale miałem temperament działacza. Kiedyś, dawno.

W Związku Młodzieży Socjalistycznej?

◂ Tak, w liceum w Opolu i na Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

I wtedy pięć dni aresztu?

◂ Spędziłem je w więzieniu na Montelupich w marcu 1968 roku. Miałem 18 lat, byłem na pierwszym roku studiów. Za rozlepianie ulotek.

Antyrządowych?

◂ To były ulotki przeciwko biciu moich kolegów studentów. Kolegium skazało mnie na wysoką grzywnę, z zamianą na 60 dni aresztu. Nie miałem zamiaru płacić. Ale moja mieszczańska ro-

---

* Pierwodruk w: „Duży Format", dodatek do „Gazety Wyborczej" nr 153 z 4 lipca 2005.

dzina – jak mnie w końcu odnalazła – wykupiła. Babcia szukała mnie po wszystkich komisariatach, nie wiedziała, co się ze mną dzieje, a milicja nie pozwoliła mi nawiązać z rodziną kontaktu. To nie były ulotki ani antyrządowe, ani antypartyjne, one wyrażały sprzeciw wobec używania przemocy i wzywały studentów do strajku. To, co robiła wtedy władza, było nie do pogodzenia z moimi ideowymi przekonaniami.

Ale ta przemoc była przecież wpisana w tamten ustrój.

◂ Wtedy tego tak nie widziałem. Mogę skończyć?

O Partii Demokratycznej?

◂ To się musi udać! Na spotkaniach z ludźmi mówię: Partia Demokratyczna jest partią, którą powołaliśmy po to, byście mieli alternatywę. Po to, by wam powiedzieć, że nie jesteście skazani głosować na populistów, którzy radykalną retoryką chcą kupić wasze zaufanie.

A oni?

◂ Są zniecierpliwieni. Co wynika – pytają mnie – z waszego umiarkowania? Z tego, że macie rację? Kto te racje kupi? Ech, jesteście zbyt pasywni – mówią – ludzie potrzebują wodza, który zrobi porządek. Pytam więc ich: chcecie państwa, w którym są masy i wódz, który wie, co jest jedynie słuszne i dla was najlepsze. Przecież to mniej demokracji, mniej społeczeństwa obywatelskiego, mniej dialogu. Podstawą państwa musi być aktywny obywatel. Bez niego nic w Polsce nie da się zrobić!

Klaszczą?

◂ Nie oczekuję oklasków.

Nie lubi pan?

◂ Niespecjalnie. Bardziej zależy mi na rozmowie. Jestem człowiekiem dialogu, debaty, człowiekiem poszukującym kompromisu.

Zastanawia mnie – co pan więc robił w PZPR przez 21 lat.

◂ Takich ludzi jak ja było tam dużo, naprawdę. Oni może nie pyskowali na zebraniach, nie widać ich było na zjazdach. Ale

w tamtym nierzeczywistym systemie, w którego upadek nie wierzyli, próbowali, bez rozgłosu, ratować – często coś drobnego, ale rzeczywistego.

Był pan komunistą?

◂ Czy ja wiem? Wierzyłem i nadal wierzę w sprawiedliwość społeczną, równość szans. Tak zostałem wychowany. Moi rodzice – bardzo młodzi, gdy się urodziłem – około dwudziestki, też głęboko wierzyli w sens przemian ustrojowych. Należeli do ZMP, potem do PZPR. Przynależność do partii była dla mnie czymś naturalnym.

Odwrotnie niż dla Mazowieckiego czy Frasyniuka?

◂ Moja żona ma wielki szacunek dla Mazowieckiego i Frasyniuka, dla tego, co zrobili w przeszłości. Ona się ucieszyła, że wyszedłem z SLD i jestem z demokratami. Wie pani, moja żona po raz pierwszy nie protestuje, nie mówi zdecydowanego: nie.

Co mówi?

◂ Marysia? Spokojnie – prosi – nie czuj się odpowiedzialny za całą Polskę.

Bo wcześniej?

◂ W 1981 roku, kiedy wybrano mnie na I sekretarza organizacji uczelnianej, wahała się, czy to dobrze. Przekonywałem ją, że warto. Wybory wygrałem w ostrej rywalizacji. Po raz pierwszy były naprawdę demokratyczne.

Czyli? Młodym czytelnikom należy wytłumaczyć.

◂ Nie przyszedł instruktor z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, nie wskazał, że sekretarzem powinien zostać ten i ten, bo cieszy się zaufaniem partii, tylko odbyło się normalne głosowanie, tajne. Nie miałem trzydziestki. Na Uniwersytecie Jagiellońskim wybory wtedy wygrał Jerzy Jaskiernia, a na SGH Dariusz Rosati.

A szefem PAX-u w Krakowie został Jan Król, były wicemarszałek sejmu z Unii Wolności.

◂ Mój przyjaciel! To jest Kraków, my wszyscy się znamy. Bardzo lubiłem rozmawiać z Jasiem o polityce. Zniesiemy ich czapkami – zapewniał mnie. W 1981 roku rozpierał go entuzjazm. Jasiu – mówiłem – ulegasz złudzeniu. W konfrontacji nie macie żadnych szans. Nie pokonacie tej siły. Wybieracie się z motyką na czołgi. Dwa razy postąpiłem wbrew jej woli. Na przekór.

Żonie?

◂ Tak. Do najbardziej ostrej wymiany zdań między mną a żoną doszło, gdy zgodziłem się być sekretarzem do spraw nauki i oświaty w komitecie krakowskim PZPR w 1986 roku. Ona wtedy gotowa była skoczyć mi do oczu i: robisz błąd – złościła się. – Będziesz za to płacił! krzyczała, tupała. Nie słuchała moich argumentów. Moje myślenie – wtedy, przez długie lata – opierało się na przekonaniu, że ten system jednak da się zreformować od wewnątrz.

Naprawdę?

◂ A pani pamięta, co się wtedy w Polsce działo? Konserwowanie systemu, mimo że gołym okiem było widać, że on się zapada, kompletny marazm, jakieś nieudane, nieśmiałe próby reform. Stracone lata. Prawie całe pokolenie wyemigrowało. Ich teraz w Polsce brakuje. W gospodarce, w polityce. Ten system musiał upaść. Nie miałem racji, próbując go reformować. Rację mieli ci, którzy go chcieli obalić. I rację miała moja żona. Intuicja jej nie zawiodła.

Potem złościła się: wybierasz Millera?

◂ Ona zdecydowanie przeciwna była mojemu przyjściu do rządu w 2001 roku.

Wybierasz Millera kosztem mnie, prawda?

◂ Z dramatycznym dodatkiem: Jak możesz! Znowu popełniasz błąd – mówiła – to miejsce nie jest dla ciebie, to towarzystwo jest nie dla ciebie, ja tym ludziom nie ufam.

O, towarzystwo!?

◂ No tak, bo ja przecież byłem człowiekiem z boku. Fachowcem. Dla nich outsiderem. Już żadnym działaczem. Wyszedłem z SdRP

w kilkanaście miesięcy po zawiązaniu. Wyrażając w ten sposób swój sprzeciw wobec bardzo – według mnie – nieczystych spraw majątkowych i koncentrowaniu wysiłków nowej partii na obronie majątku po PZPR. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Wierzył pan w sukces SLD-owskiego rządu?

◂ Zawsze się wierzy. Wszyscy w to wierzyli. SLD miało znakomite notowania w sondażach.

Jak dzisiaj prawica.

◂ Znacznie większe. Prawie 50%.

Bo ludzie mieli dość amatorów – jak mówiono – z AWS. Elektorat SLD wołał: Buzek na wózek.

◂ A dzisiaj mają dość SLD. Politycy zawsze rozbudzają w ludziach nadzieję i oczekiwania w sposób absolutnie fałszywy, grając na naiwności wyborców.
Są według mnie dwie kategorie polityków: od zdobywania władzy i prowadzenia gry politycznej oraz od rozwiązywania problemów. Jedni potrzebują drugich. Bo pierwsi wygrywają wybory, zapewniają, że jest większość parlamentarna, jest poparcie społeczne, a drudzy, że władza, którą zdobyli, służy – czemuś, zrealizowaniu konkretnych celów. Siebie zaliczam do drugich. Jestem od rozwiązywania problemów.

Przez Marka Belkę znalazł się pan w rządzie?

◂ On mnie zachęcał do pracy w rządzie. Zaprzyjaźniłem się z nim w zespole doradców prezydenta. Belka miał być wicepremierem i ministrem finansów. Powiedziałem mu, jeszcze przed wyborami: musisz publicznie odkryć, jak zamierzasz naprawiać finanse publiczne. One były w rozsypce, jak pani pamięta. Musisz to powiedzieć jak najszybciej, tak będzie uczciwie.

Powiedział, że zamierza opodatkować oszczędności.

◂ Po wyborach aparat SLD-owski oskarżył go, że 3% głosów straciliśmy przez niego. Choć Marek uprzedził Millera, że powie. Aparat stwierdził, że Belka przeholował, przestraszył ludzi, przed wyborami o przykrych rzeczach się nie mówi.

Aparat czym jest?

◂ Muszę cofnąć się w czasie. Opisać życie codzienne komitetu wojewódzkiego PZPR w drugiej połowie lat 80. Pierwszy dzień. Wybierają mnie na jednego z sekretarzy, dziękuję i zbieram się do domu. A ty dokąd? – pyta mnie jeden z towarzyszy. Do domu. – Czyś ty zwariował! Teraz idziemy na spotkanie do ośrodka wypoczynkowego prezydenta miasta, zawsze po wyborach się tam spotykamy, musisz.

Są: prezydent, przewodniczący rady narodowej, szefowie służb miejskich, policji. Hołdy dla I sekretarza PZPR: my tu, towarzyszu sekretarzu, lojalni, oddani sprawie. Zastawione stoły, toasty, pikantne żarty, grube dowcipy.

„Po czym poznać mężczyznę", tak?

◂ (Uśmiech) Mija godzina, dwie, pytam sąsiada przy stole: ile to będzie trwało? Do rana. Mówię: nie zamierzam siedzieć do rana. Słyszę: nie masz wyjścia. – Jak to nie mam – dziwię się – ja po prostu wyjdę. Mówi: człowieku! Co ty wygadujesz, musisz! Więc poszedłem do pierwszego i powiedziałem: towarzyszu I sekretarzu, umówiłem się z żoną, wracam do domu. Musisz, Jurek? – zapytał. Muszę, obiecałem. Zbaraniał. Powiedział jednak: jak musisz, to idź.

Zwykle pod koniec każdego dnia wszyscy zbiegali się do gabinetu I sekretarza. Nie idziesz? Musisz – słyszę. Raz poszedłem. W gabinecie rozmowy: Maćka się zdejmie, Marka przesunie, Włodek pójdzie tam, Janka się załatwi, Edka rzuci na rurociągi, Leszka na szkołę. I picie. Ci ludzie w ogóle nie znali świata, który ich otaczał. Wożeni byli samochodami z domu do komitetu, z komitetu na zebranie, mieszkali przeważnie razem, za ścianą mając kolegę-towarzysza, i po przyjściu z KW przewalali się od jednego do drugiego, stale intrygując.

Pan znał?

◂ Ja byłem z innej bajki. Pracowałem w Akademii Ekonomicznej, miałem swoich studentów, kolegów, uczestniczyłem w różnych konferencjach. Partia była tylko częścią mego świata, nie najważniejszą. A oni cały czas tkwili w getcie. Od święta robili teatr,

czyli plena, na których klepało się ideologiczne formułki, a na co dzień ustawiali ludzi. Załatwiali niepokornych, awansowali pokornych. Ustawiali w drodze uzgodnień w gabinetach, szeptance na ucho oraz w nagrodę za demonstrowanie lojalności wobec I sekretarza. Kto nie demonstrował mu lojalności – był podejrzany. Kto z nimi nie pił – obcy.

Pan?

- Byłem podejrzany i obcy. Po trzech latach zmaltretowany moralnie. Żonie przyznałem rację. Miałem poczucie zmarnowanego czasu.
  Ten aparat został.

Marek pójdzie tu, Włodka się załatwi, a Leszka przesunie?

- Układanie, rozprowadzanie, ustawianie oraz strach przed inicjatywami obywatelskimi i organizacjami pozarządowymi, którymi nie da się ręcznie sterować.

Z powodów doktrynalnych?

- Nie, mentalnościowych. To takie wychowanie. Od młodości w ZMS, PZPR, w organizacjach, w których trzeba było udawać jakieś przekonania, wymyślać jakieś racje, wykazywać elastyczność, uprawiać mimikrę. Po zmianie ustroju szybko zrozumieli, że trzeba znać języki, chodzić do wyborców na spotkania, rzucić im dowcipny bon mot, nosić modny krawat i oni tę inżynierię komunikacyjną łatwo opanowali. Ale nawyki PZPR-owskie zostały. Ten aparat jest bardzo sprawny. Dobrze przygotowany do konstruowania list wyborczych, zdobywania zwolenników. Znakomicie organizuje konferencje prasowe. Rozstawia się na sali własnych dziennikarzy, którzy zadadzą ładne pytanie, kiwnie na swoich ludzi, by w odpowiednim momencie tego dziennikarza uruchomili, załatwi się kamerzystów, by ich filmowali jak najkorzystniej.

Efekt: w 1993 roku – wygrane wybory w 21%, a w 2001 – w 42%.

- Nieszczęście zaczyna się wtedy, gdy po zdobyciu władzy trzeba rozwiązywać problemy społeczne. Gdy trzeba oddzielić interes

partii od interesów państwa, a czasem dla dobra państwa nawet go poświęcić. SLD w sumie okazało się do tego niezdolne.

Platforma Obywatelska jest zdolna? Prawo i Sprawiedliwość?

◂ Nie wiem, choć nie sądzę.

Bo pana reformy, np. ubezpieczeń rolniczych, partie te nie poparły.

◂ I za to zapłacą. Nie znam jednak tych partii od wewnątrz, nie mogę się obiektywnie wypowiadać. Mogę o swojej.
Nie wiem, czy pani pamięta taki moment – wybiegając w przyszłość – kiedy lider z Podkarpacia Krzysztof Martens powiedział: plan Hausnera jest dobry dla państwa, ale szkodzi SLD.

Rok temu.

◂ Z półtora. Leszek Miller napisał mi na kartce: musisz zareagować. Uznał, że to atak na niego i uderzenie we mnie, a ja uznałem, że Martens mnie wspiera. *Qui pro quo*. Miller do mnie: broń się. A ja: po co? Miller: mów, że to jest dobre dla SLD. Powiedziałem: obowiązkiem SLD jest robić rzeczy korzystne dla państwa, bo w ten sposób SLD pokaże, iż nie boi się wziąć odpowiedzialności za państwo i dzięki temu w przyszłych wyborach będzie miało szanse. W przeciwnym razie je dokumentnie przekreśli.
Wielu wtedy uznało: Martens otworzył nam oczy, plan Hausnera jest niedobry dla SLD. Miller twardo oświadczył: to, co dobre dla państwa, jest dobre dla SLD. Czyli: Martens nie ma racji, idziemy do przodu, nie ma o czym gadać.

W 2001 roku wiedzieliście dokąd?

◂ Po kolei. Pod koniec sierpnia, jeszcze przed wyborami, ostrzegałem, że program SLD opracowany przez czterdzieści zespołów nie składa się na żadną całość, jest zbiorem luźnych pomysłów. Nie mamy żadnego programu – mówiłem. – Gospodarczego programu także nie ma – mówiłem Markowi Belce.

Jak dzisiaj?

◂ Dzisiaj – porównując – jest gorzej. Do rządzenia szykuje się koalicja rozdzierana ambicjami przywódców i z tego, co widać na razie – niezdolna uzgodnić żadnego wspólnego programu.

Wtedy do Sejmu nie zamierzałem kandydować. Sytuacja zmieniła się po nagłej śmierci Andrzeja Urbańczyka. Krzysiek Janik oświadczył mi: jesteśmy w trudnej sytuacji, mamy dwa tygodnie do zamknięcia list. I: musisz nam pomóc, musisz kandydować.

Zrób to dla partii.

◂ Niespecjalnie chciałem być posłem. Jestem człowiekiem, który kocha mieć świat uporządkowany, zorganizowany, po prostu rozsądnie ułożony. Do stanowiska rządowego, z czym się liczyłem, przygotowywałem się przez rok, ładowałem akumulatory. Ostatnie wakacje przed emigracją do Warszawy chciałem spędzić z rodziną. Nie planowałem uczestniczyć w kampanii wyborczej. Te wakacje miały być prezentem dla mojej żony i dwóch córek. Zamierzałem je spędzić w nowo wybudowanym domu na wsi. O domu na wsi marzyłem od lat.

Moje posłowanie zaczęto wiązać także z przejęciem przeze mnie innej roli Andrzeja Urbańczyka – przewodniczeniem „Kuźnicy". Nie bardzo chciałem.

Zaczęto wywierać na mnie presję. Z jednej strony ludzie z „Kuźnicy" – taką pozytywną, dowartościowującą: słuchaj, nadajesz się, pomóż. Im na moim posłowaniu bardzo zależało, także dlatego, że „Kuźnica" nie ma pieniędzy i Andrzej Urbańczyk utrzymywał ją ze swoich diet poselskich. Liczyli, że te zobowiązania po nim przejmę.

Z drugiej strony poszedł nacisk ze strony kierownictwa SLD, mniej sympatyczny, bo polityczny. Usłyszałem: bezpartyjnych fachowców mamy dość, więc decyduj – albo jesteś z nami, albo no, zastanowimy się, czy jesteś nam w ogóle do czegokolwiek przydatny.

Szantaż?

◂ Uległem.

Bardzo chciał pan być ministrem?

◂ Chciałem. Było to spełnienie ważnych dla mnie ambicji. Możliwość pokazania, co potrafię. Szansa pracy, tym razem na własny rachunek. Chciałem podejmować decyzje i za ich podejmowanie

ponosić odpowiedzialność. Przedtem, w latach 1993–97, byłem doradcą Grzesia Kołodki.

Wicepremier Kołodko mówił, że jest pan jego prawą częścią mózgu.

- Byłem od strategicznego myślenia. Oraz grałem przy nim rolę psychoterapeuty, człowieka, który ma go trochę tonować, a trochę osłaniać. Doświadczenia z tych lat nie były złe. Tamta ekipa zupełnie dobrze sobie radziła. Normy przyzwoitości były zachowane. Uważano: „nam wolno trochę mniej" i „my musimy od siebie wymagać więcej".

Został pan ministrem pracy i polityki społecznej.

- Propozycja trochę mnie zaskoczyła. Chciałem być ministrem gospodarki albo wiceministrem odpowiedzialnym za reformę górnictwa. Wziąć się za najtrudniejsze zadania. Ale nie dyskutowałem. Potem się dowiedziałem, że ministrem pracy planował zostać Andrzej Piłat, baron z Mazowsza. Hausnera – powiedział Millerowi – biorę, jak najbardziej, świetny ekspert. Baronowie uważali, że to oni powinni być ministrami, a tacy jak ja wiceministrami. Bo to oni wygrali wybory i zapewnili Millerowi władzę. I to oni zagwarantują mu kontrolę nad aparatem, więc należą się im za to stanowiska.
  Miller usadził ich wtedy. Bardzo twardo się im przeciwstawił. W rządzie znalazła się tylko baronowa z Poznania, Krystyna Łybacka. Także dlatego, że potrzebne były kobiety.

Drugą była Barbara Piwnik.

- Pani Piwnik nie była dla mnie żadnym problemem. Absolutnie nie przyjmowałem do wiadomości, że w tej nominacji chodziło o FOZZ czy osłanianie kogokolwiek czy czegokolwiek. Dzisiaj też nie przyjmuję. Jej nominację na ministra sprawiedliwości oceniałem jako chytry zabieg Millera, by szeryfowi Kaczyńskiemu, który był przed nią, przeciwstawić szeryfa w spódnicy. Była w SLD-owskim środowisku osobą obcą bardziej niż ja, zagubioną. Rzadko się odzywała. A potem się okazało, że sytuacja ją przerosła.

A minister Łapiński?

- Aż nie chce mi się o nim mówić. Rząd Millera nie był zasadniczo źle skonstruowanym rządem. Byli w nim ludzie, do których Miller miał zaufanie, ale – widać było – że zależało mu także na ich kompetencjach. To miała być dobra drużyna.

Posłuszna?

- Nie, nie, dobra. Kompetentna, skuteczna w działaniu.
  Największym błędem Millera była obsada stanowiska ministra zdrowia. Łapińskiego widziałem wcześniej może na dwóch, trzech spotkaniach, gadał jakieś rzeczy, których nie akceptowałem, spierałem się z nim. Odniosłem wrażenie, że to człowiek, który ma uproszczone widzenie problemów, zachowawcze, wręcz prymitywne. Na pierwszym posiedzeniu rządu objawił mi się jako człowiek brutalny w obyciu, brutalny w sposobie wypowiadania się, w zachowaniu, z nieprawdopodobnym tupetem, agresją, wręcz bezczelnością.

Jak Giertych?

- U Giertycha jest ideologia, przywiązanie do doktrynalnych racji, które według niego usprawiedliwiają każdą metodę walki i każde zachowanie. To bardzo niebezpieczna mieszanka.

Cel uświęca środki.

- A w imię tych celów – wszystko wolno. Łapiński zaś żadną ideologią się nie kieruje: „Postawię na swoim, moje ma być na wierzchu". Krążył po wszystkich gabinetach, każdego oczerniał, Bóg wie o co ich oskarżał. Wbijał Millerowi do głowy, że ten spiskuje przeciwko niemu, tamten spiskuje. Na radach ministrów dochodziło do ho, ho! ostrych zderzeń, najmocniejszych między nim a Kaczmarkiem. Oni się nienawidzili.
  Łapiński miesiącami dręczył Millera, by Belkę i Kaczmarka z rządu wyrzucił. Grał jakimiś insynuacjami, zarzucał im, że są związani z tym, z owym.
  Ja byłem na trzecim miejscu jego listy osób do zwalczania. Rzucał we mnie jakimiś groźbami, lekceważyłem je.

Czym groził?

- Dam przykład intrygi.
  Wystąpiłem na dużej otwartej konferencji. Mówiłem, dlaczego kolejne rządy nie umiały sobie poradzić z restrukturyzacją trudnych sektorów gospodarki i usług publicznych, wspomniałem też – bardzo ogólnie – o nieudanych próbach reform w ochronie zdrowia i wyliczyłem popełniane błędy. Nie mówiłem nic o Łapińskim. Aczkolwiek wszyscy na sali domyślali się, że krytyczne uwagi odnoszą się także do reform Łapińskiego i Narodowego Funduszu Zdrowia. „Gazeta Wyborcza" napisała to wprost, bez żadnych domyślników. Łapiński poleciał na skargę do premiera. Nakrzyczał: On natychmiast musi być odwołany! Zadzwonił do mnie Marek Wagner, szef kancelarii Millera: Premier prosi – polecił mi – żebyś napisał w tej sprawie wyjaśnienie.

Jak w PRL?

- W PZPR! Notatki wyjaśniające na okoliczność, co się powiedziało, a czego nie powiedziało, bo jacyś towarzysze donieśli, pisałem, jak byłem sekretarzem komitetu uczelnianego i potem KW PZPR w Krakowie.
  Nagadałem Wagnerowi. Czy ty zdajesz sobie sprawę? Co robisz? Co wy robicie! Przez 48 godzin byłem wściekły. Potem napisałem Millerowi: na konferencji nie użyłem ani nazwiska ministra Łapińskiego, ani nazwy Narodowy Fundusz Zdrowia. Mnie chodziło o zasady. Prawdą jest jednak, że mówiąc o naruszaniu zasad, myślałem także o działalności ministra Łapińskiego. Skoro jednak znalazłem się w sytuacji, że muszę powyższe wyjaśnienie złożyć, dodam, iż Mariusza Łapińskiego uważam za postać niezwykle szkodzącą SLD i państwu. I niedługo zobaczy pan, panie premierze, jakie będą tego skutki. Notatkę wysłałem. I sprawa zniknęła.

Żadnej reakcji?

- Żadnej. Nawet telefonu. Do dzisiaj nie rozumiem, skąd w Millerze była taka nadzwyczajna wyrozumiałość i tolerancja wobec Łapińskiego.

Ucho?

◂ Może. Ale jakież to PZPR-owskie. Łapiński do Millera przychodził i donosił, że ten jest z tym i tym, będę miał na nich materiały, przyniosę, bo oni to i owo. Może Łapiński zaspokajał jakąś potrzebę Millera, choć psychologicznie dziwną, wręcz samobójczą. Każdy chyba z ludzi sprawujących władzę musi ten skomplikowany świat jakoś ogarnąć, by go zrozumieć. Łapiński mu ten świat upraszczał.

Daj dowód – powiedziałem sobie – że można zachowywać się inaczej. Nie rozpychaj się, nie rywalizuj o wpływy oraz nie włączaj się w żadne gry polityczne. Byłem skoncentrowany na robocie.

Wstaję o 5 rano, dwie godziny siedzę nad papierami, przygotowuję się do pracy i idę do ministerstwa. Zaczynam o 8 rano, kończę o 21, wracam do pokoju w hotelu sejmowym, o 22 włączam telewizor, przeglądam papiery do północy. A następnego dnia znowu: pobudka o 5, gorąca kąpiel... I tak dzień po dniu, w podobnym rytmie. A wokół biegają dziennikarze. Polują na twoje potknięcie.

Taka scena. Idę do Belki w sprawach budżetowych i na korytarzu siedzi jakiś facet, nie wiedziałem, że to dziennikarz. Z długą grzywą, uśmiecha się. Miły człowiek – myślę. Dzień dobry panu, dzień dobry. Wracam od Belki, on do mnie podchodzi, myślę: może chce mnie o coś zapytać i z uśmiechem też podchodzę, a ten z agresją: „Co panu dał Belka!?" – i zza pleców wyciąga mikrofon. – „Na co się pan zgodził?!" Wstrząs! To tak, jakby ktoś panią oblał zimną wodą czy postawił pod prysznic. Jak tak można? Nie polujcie na mnie. Nie jestem zwierzyną. Jestem prostolinijny, otwarty, nie kłamię, ale proszę: dajcie chwilę się zastanowić nad odpowiedzią, bym nie gadał głupstw.

A Belka, co panu miał dać?

◂ Nie pamiętam, chodziło o uzgodnienie jakichś spraw dotyczących budżetu ministerstwa. Pamiętam, że po paru miesiącach wiedziałem, że dobrze nie idzie. Ciągle były żądania: gdzie są nasze przywileje, załatwiajcie nasze sprawy. SLD bardzo szybko

po wyborach stało się urzędem pracy. Gdzie są owoce naszego zwycięstwa? – pytali.

Czego od pana oczekiwano?

◂ Że będę pomagał załatwiać sprawy, które pomogą budować pozycję SLD w terenie. Sekciarskie myślenie. Oświadczałem często: nie jestem ministrem małopolskim czy wielkopolskim, ale ministrem ogólnopolskim i odpowiadam za cały rynek pracy, a nie tylko w regionie, w którym chcecie wzmocnić poparcie swego elektoratu.

Dali spokój?

◂ Nie. Ale nie ulegałem, jeśli rzecz uważałem za niesłuszną. Uważano mnie więc za technokratę i aroganta.
Swoich studentów uczę zawsze: działajcie metodą pokazową. Nie nakazową czy zakazową. Jeżeli chcecie, by ludzie opowiedzieli się po dobrej stronie, musicie im pokazać, że można inaczej. I warto inaczej. W każdym układzie politycznym można być przyzwoitym człowiekiem, można nie dać się ubabrać w żadną aferę i zachować niezależność.

Bankiety?

◂ Nie chodziłem. Ja zasadniczo na żadne obiady i rauty nie chodzę. Do ambasad także nie. Potrzeby towarzyskie zaspokajam, spotykając się z rodziną i moimi studentami.

Kopał się pan z koniem?

◂ To Belka.

I nie wytrzymał?

◂ Nie, nie. Marek nie odszedł z rządu sam z siebie. Jego do dymisji sprowokowano. Ten koń najpierw mocno go poturbował. Marek bardzo boleśnie odczuł smak tego turbowania.

Koniem był kto?

◂ Otoczenie premiera. Miller od początku marzył o Kołodce. Mówił: Belka to człowiek zbyt racjonalny – nie skoczy do oczu, za spokojny – nie walczy. Nikogo do siebie nie przekona. Nie ma w nim serca, tylko rozum. A Kołodko to pasjonat, Grzesiu nagada,

że „produkcja rośnie, a inflacja maleje" i produkcja rzeczywiście wzrośnie. Miller traktował Kołodkę jak cudotwórcę.

Ale prezydent wolał Belkę?

- Wolał. I przekonał Millera. Prezydent traktował Belkę jako swoje wielkie odkrycie, pasjami lubił z nim rozmawiać. Ja także. Bo Marek jest miłym, dowcipnym, niezwykle inteligentnym człowiekiem, z którym chce się przebywać i pracować, a Kołodko jest egotyczny i próżny. Miller kiedyś go nie cierpiał i zwalczał. Ale cechą Millera jest to, że umie dostrzec instrumentalną wartość osoby, potrafi swoje relacje z ludźmi zracjonalizować. Słyszał wciąż: za Grzesia była Strategia dla Polski, wielkie zespoły nad nią pracowały, wzrost gospodarczy i kurczę, w ogóle wszystko lepiej się układało.
  Marka oplątano insynuacjami. Wie pani, jak to się robi? Jednego dnia powiedziano mu: wiesz, ty masz teczkę, ale nie musisz się martwić.

My to załatwimy?

- Nie, nie, wszystko jest w porządku. Po trzech dniach usłyszał: wiesz, tam coś jest. Mógłbym zobaczyć? Nie, nie, nie ma żadnych powodów i w ogóle, wiesz, przepisy nie pozwalają.

Skąd wiedzieli?

- No, wie pani, aparat zawsze zbierał na ludzi haki i je w odpowiednim momencie wyciągał. A w polityce ważny był ten, kto tych haków skolekcjonował najwięcej.

Jak dzisiaj?

- Dzisiaj dziwi mnie, że dawni opozycjoniści, niewychowani w aparacie PZPR-owskim, zwyczaje tego aparatu tak łatwo przejęli. Oni oczywiście używają innych słów i innych argumentów, ale osaczanie ludzi pozostało. Wtedy Belka tego nie wytrzymał.

Wymieniony został na Kołodkę.

- A Grzesio: „Ten rząd z premierem Leszkiem Millerem na czele zapewni społeczeństwu wzrost gospodarczy, zmniejszenie bezrobocia, poprawę życia emerytom...". Otoczenie Millera było za-

chwycone. Polepszą się nastroje społeczne i wzrośnie poparcie dla SLD.

Polepszyły się na chwilę.

◂ Nie mogło być inaczej. Bo jaki był program tego rządu? Jaki był jego plan polityczny? Jakie miał zaplecze?
Patrzyłem na Jaskiernię. Kiedyś to był błyskotliwy umysł, uważałem go za najlepszego z nas młodych. To, co się z nim stało, to katastrofa. Był przewodniczącym klubu parlamentarnego. Stracił jakąkolwiek energię, jakąkolwiek zdolność działania. Wyglądał jak manekin. I nikt na to nie reagował. Zamiast poważnej refleksji i politycznej inicjatywy próbowano rozładować narastające konflikty upuszczaniem pary.

Z kotła?

◂ Zbierało się wszystkich pod hasłem: musimy z sobą porozmawiać. Rozmowa polegała na tym, że ludzie skakali sobie do oczu, wyzywali się i po kilku godzinach wykrzyczenia się – rozchodzili. Z tego gadania nic nie wynikało.
A machina rządowa napędzana kalendarzem europejskim pracowała, strasznie szybko pracowała. Szybciej i szybciej. Miller ją napędzał. A gdy pojawiały się poważne trudności – żadnej refleksji, czy nie popełniamy jakiegoś błędu, który należałoby skorygować, żadnego zastanowienia się, jak tych potknięć uniknąć. Miałem wrażenie, że jedziemy szybko, coraz szybciej, samochodem, który powoli traci sterowność, a droga, którą się poruszamy, jest coraz bardziej karkołomna.
Chyba na wiosnę 2002 roku dotarło do mnie, że grozi nam wykolejenie się. Wyraźnie już było widać, że się wykoleimy.

Bo ...?

◂ Ten samochód jechał bez wizji.

Nie wiedział dokąd?

◂ Nie miał wyznaczonej stacji docelowej. Nie było wizji Polski za 10, 15 lat. Jedynym twardym punktem, który – zresztą usprawiedliwia według mnie pozytywną ocenę rządu Millera – była

Unia Europejska i doprowadzenie nas do niej. Tutaj jego determinacja, konsekwencja, jego bezwzględność absolutnie służyły sprawie. I skoro miał Cimoszewicza, Hübnerową i Pietrasa, wszystko to zostało zrobione.

Czyli plan prezydenta, by Miller w dzień po wygranym referendum europejskim odszedł, był dobry?

◂ Bardzo dobry. Tylko sposób jego rozegrania, niestety, fatalny. Ja to im w którymś nawet momencie powiedziałem. Nie ma żadnej sprawy z odejściem Millera. W SLD jest siedmiu czy ośmiu ludzi, którzy się naprawdę liczą, trzeba ich zebrać, ustalić, że następcą Millera zostanie ten i ten, po czym pójść do niego grupą i powiedzieć: Leszku, zrobiłeś bardzo dużo, szanujemy to, ale musisz odejść, na warunkach honorowych – po wprowadzeniu Polski do Unii. Ale do Millera nikt nie poszedł. Nie umieli się dogadać, kto będzie następcą.

Bo każdy chciał być następcą?

◂ Każdy.

A odejść pan nie zamierzał?

◂ Wiele osób mówiło mi: porzuć Millera, odwróć się od niego, a za chwilę sam będziesz premierem. Do czego wy mnie namawiacie? – pytałem ich. Ja miałbym zachować się w sposób nieuczciwy? I jeszcze mieć z tego korzyść? Namawiacie mnie, bym postąpił w sposób, którego nie znoszę i nie chcę, by stosowano go wobec mnie? To niemożliwe!
Wiele jednak osób okazywało mi szacunek. I ten szacunek był dla mnie czynnikiem skłaniającym mnie do pozostania. Żeby łatwo się nie poddawać, dalej próbować. A kiedy zorientowałem się, jak funkcjonuje Polska z perspektywy „warszawki", powiedziałem: Polskę ogarnęła epidemia szaleństwa. Tutaj w Warszawie co drugi to wariat. Patrzyłem, jak zachowywał się Manicki, jak zachowywał się OPZZ, jak zaczęła zachowywać się „Solidarność", dla mnie stało się jasne, że my jesteśmy po prostu chorzy.

Wszyscy?

◂ Powszechnie. Myśli się kategoriami: my kolejarze, my nauczyciele, my górnicy. Góruje myślenie korporacyjne i resortowe. Zamknąłem się w małym zespole. Dzień po dniu walka z szaleństwem, które nas ogarnia. Szło mi. Więc zaczęli mi coraz więcej dokładać. Jurek, weź to, Jurek, weź tamto. A potem...

Afera Rywina.

◂ Jakby ktoś rzucił granat w szambo.
Był taki dzień, że prasa napadła na syna Millera. Nie wytrzymał nerwowo. Wyszedł z posiedzenia Rady Ministrów. On jest głęboko przywiązany do rodziny. Chronił ją przed mediami. Po raz pierwszy zobaczyłem Millera, który ma dość. Ten silny kanclerz załamał się. Chciał pisać rezygnację do prezydenta. Wagner pojechał do niego do domu i go powstrzymał. Nieprawda, że afery zaczęły się za rządów SLD. Jest to totalna nieprawda. One towarzyszyły nam w PRL i od początków transformacji ustrojowej. To był proces. Uruchomiony nie przez jedną osobę i nie przez jedno tylko środowisko. Zaczął się od poluzowania.
Dziesięć lat temu, pamiętam, Grzesio Kołodko, był wtedy wicepremierem, mówił, że Kulczyk zaprosił go na kolację i podarował mu krawat. Mnie to zdziwiło, tym bardziej że Grzegorz raczej stronił od nowobogackich.

Nie oburzyło?

◂ Nie, wtedy nie. Bo wie pani, nic takiego strasznego się nie stało. Teraz widzę: stało się stopniowe luzowanie obyczajów. Politycy, dziennikarze, społeczeństwo dawali na to przyzwolenie. Nastąpiło zblatowanie – jak teraz mówimy – i stało się normą. A gdy jest normą, to na pęczki pojawiają się Pęczaki, czyli patologia. Bo wie pani, jak Pęczak wie, że żonę Millera zatrudnia jeden biznesmen, a jego syna – drugi, to myśli: jemu wolno, a mnie nie wolno? I robi interes z Dochnalem. Bo dlaczego nie? A w chwili zagrożenia, gdy policja depcze po piętach: Jak to, koledze w trudnej sytuacji nie pomożesz? Czyli PRL-owski standard. Ja tobie – ty mnie. W klanie obowiązuje zasada wzajemnego popierania się, słowo „nieprzyzwoite” nie obowiązuje.

Wszystko wolno?

- Jeden z ministrów, bardzo dobry i którego bardzo lubiłem, zaproponował – wpadnijmy do restauracji. Jeść nie będę – powiedziałem – ale wypiję lampkę wina. Zamawia wino. Bardzo drogie. Nie lepiej tańsze? – zaoponowałem. „Ach, wiesz, taki miły wieczór". Pomyślałem: stać go, ma kaprys, w porządku. Przyszedł właściciel restauracji i zapłacił. „Zepsułeś mi wieczór powiedziałem mu – nigdy z tobą więcej nie pójdę". „Ten właściciel jest moim przyjacielem" – tłumaczył. „Nie szkodzi! Ty jesteś ministrem, tobie robić tego nie wolno. Nie wolno, rozumiesz?"

Zrozumiał?

- Przeprosił: „Masz rację, nam nie wypada".

I.

Z „KUŹNICY”

Transformacja i program gospodarczy*

U podstaw transformacji gospodarczej w krajach postsocjalistycznych, której historię zamierzam przedstawić w syntetycznym skrócie, leży „waszyngtoński consensus". To ukształtowane przez międzynarodowe organizacje finansowe (Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy) i amerykańską administrację podejście odnoszące się do sposobu przechodzenia od gospodarki o silnej dominacji państwa do gospodarki rynkowej. Ten sposób myślenia, wypracowany głównie na potrzeby krajów Ameryki Łacińskiej, leży u podstaw zmian, które zainicjowano w latach 90. w Polsce i w innych krajach naszego regionu.

Na „waszyngtoński consensus" składa się dziesięć następujących zaleceń:

- Należy przywrócić dyscyplinę fiskalną.
- Państwowe subsydia powinny zostać zniesione, natomiast w wydatkach budżetowych preferować należy edukację i opiekę zdrowotną.
- Konieczna jest reforma podatkowa, ukierunkowana na poszerzenie bazy podatkowej i ustanowienie umiarkowanych krańcowych stóp podatkowych.
- Stopy procentowe ma określać rynek i powinny być realnie dodatnie.
- Kursy walutowe ma także kształtować rynek.
- Potrzebne jest zliberalizowanie reżimów handlowych, natomiast liberalizacja przepływów kapitałowych nie jest wskazana.
- Ograniczenia dotyczące bezpośrednich inwestycji zagranicznych powinny zostać zniesione.
- Przedsiębiorstwa państwowe muszą zostać sprywatyzowane.

---

* Wystąpienie na zebraniu „Kuźnicy", 25 lutego 2002.

- Działalność gospodarcza ma zostać zderegulowana.
- Prawa własności muszą być chronione i zabezpieczone.

Ten sposób myślenia o polityce gospodarczej i działaniach systemowych symbolizują najlepiej trzy pojęcia kluczowe: deregulacja, liberalizacja i prywatyzacja. W jego ramach koncentrowano się przede wszystkim na zagadnieniach makroekonomii, a dominującym paradygmatem naukowym był monetaryzm.

Zanim przejdę do opisu obecnej sytuacji polskiej gospodarki, pragnę postawić następującą tezę, o której słuszności jestem mocno przekonany: formułowanie właściwego programu gospodarczego wymaga nie tylko analizy sytuacji gospodarczej, czyli nie tylko tego, co koniunkturalne, ale także rozpoznania stanu gospodarki, czyli jej strukturalnych cech.

W tym kontekście przedstawię zestaw negatywnych cech strukturalnych polskiej gospodarki (co nie znaczy, że nie ma ona pozytywnych cech). Dodam także, że te słabości polskiej gospodarki są głównie efektem transformacji, a nie spadkiem po poprzednim systemie gospodarczym. Zaliczam do nich:

- Masowe strukturalne bezrobocie.
- Wysoki poziom nierówności dochodowych.
- Szeroką i głęboką strefę ubóstwa.
- Polaryzację społeczno-ekonomiczną miasto–wieś.
- Nadmierne obciążenie budżetu państwa wydatkami socjalnymi.
- Niski poziom akumulacji i inwestycji.
- Niski poziom oszczędności.
- Podporządkowanie sektora bankowego, a nawet szerzej – finansowego, globalnym sieciom kapitałowym (banki kierują się w polityce kredytowej racjonalnością, która wynika z analiz rynków globalnych, a nie rynku krajowego).
- Bardzo niski poziom nakładów na badania i rozwój.
- Niedorozwój infrastruktury technicznej i usług publicznych.

Świadomie wybrałem cechy negatywne i pomijam aspekty pozytywne, ponieważ polityka gospodarcza nie może reagować tylko na sygnały koniunkturalne i rynkowe szanse. Powinna być przede

wszystkim zorientowana na przezwyciężanie strukturalnych słabości, które ograniczają i hamują zdolności konkurencyjne gospodarki.

Moim zdaniem nie należy przeciwstawiać rynku i państwa, a prawidłowa regulacja gospodarcza wymaga aktywnej roli państwa. Analizując gospodarkę, trzeba więc przyjrzeć się i państwu, które jest animatorem polityki gospodarczej. Opisując stan państwa z perspektywy, która mnie interesuje, odwołam się do koncepcji autorstwa szwedzkiego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii – Gunnara Myrdala. To on, opisując tzw. Kraje Trzeciego Świata, posłużył się pojęciem „miękkiego państwa", które scharakteryzował następująco:

- Niski poziom dyscypliny społecznej.
- Znaczne niedostatki w ustawodawstwie.
- Nieskuteczność w egzekwowaniu prawa.
- Rozpowszechniona korupcja.
- Wykorzystywanie władzy politycznej i gospodarczej do realizacji partykularnych interesów jednostek i małych grup.
- Niska efektywność wykorzystywania funduszy ekonomicznych.
- Samowola i niezdyscyplinowanie urzędników.
- Niska skuteczność we wprowadzaniu reform sprzyjających rozwojowi gospodarczemu i większej sprawiedliwości społecznej.

Trzeciego elementu syntetycznego ujęcia problemów polskiej gospodarki dostarcza „Diagnoza 2003" – opracowanie sumujące wyniki wielkiego badania społecznego przeprowadzonego przez grupę znakomitych polskich socjologów. W opisie stanu społecznego Anno Domini 2003 zwraca uwagę fakt, że aż 68% badanych negatywnie ocenia wpływ, jaki na ich życie miały zmiany, które zaszły po 1989, a tylko 19% uważa, że te zmiany były dla nich korzystne. Przy czym zmiana ocen – z pozytywnych na negatywne – dokonała się przede wszystkim pod koniec poprzedniej dekady, a w latach 2001–2003 wzrost udziału ocen negatywnych został nieco wyhamowany. Oznacza to, że społeczeństwo zatraciło poczucie kierunku i celowości zmian. Narasta społeczny stres oraz poczucie niepewności i lęku o przyszłość.